

# Przejść to na własnych nogach. Katolickie bycie pośrodku burzy

Paweł Milcarek

**P**rzypomniałem sobie jeden z najbardziej pamiętnych fragmentów jednej z najważniejszych dla mnie książek – *Znowu w Brideshead* Evelynna Waugh. Oto pół poganin, pół katolik rozwija przed swoim przyjacielem agnostykiem osobiste doświadczenia z katolikami: „Nie są tacy jak inni... I to nie dlatego, że tworzą klikę; w rzeczywistości tworzą co najmniej cztery kliki, z których co chwila jedna obrzuca błotem inne – ale oni mają całkowicie odmienny pogląd na życie, różnią się od pozostałych ludzi we wszystkim, co ważne. Starają się z tym kryć, ale to zawsze wychodzi na jaw. Zrozumiałe, że tak robią. Ale widzisz, to bardzo trudne dla takich półpogan jak Julia i ja”.

„Różnią się od pozostałych ludzi we wszystkim, co ważne... to zawsze wychodzi na jaw”. Przypomina mi to inne słowa, ze starożytnego *Listu do Diogneta* (II w.):

Chrześcijanie nie różnią się od innych ludzi ani miejscem zamieszkania, ani językiem, ani strojem. Nie mają bowiem własnych miast, nie posługują się jakimś niezwykłym dialektem, ich sposób życia nie odznacza się niczym szczególnym. Nie zawdzięczają swej nauki jakimś pomysłom czy marzeniom niespokojnych umysłów, nie występują, jak tyłu innych, w obronie poglądów ludzkich. Mieszkają w miastach helleńskich i barbarzyńskich, jak komu wypadło, stosując się do miejscowych zwyczajów w ubraniu, jedzeniu, sposobie życia, a przecież samym swoim postępowaniem uzewnętrzniają owe przedziwne i wręcz paradoksalne prawa, jakimi się rządzą. Mieszkają każdy we własnej ojczyźnie, lecz niby obcy przybysze. Podejmują wszystkie obowiązki jak obywatele i znoszą

wszystkie ciężary jak cudzoziemcy. Każda ziemia obca jest im ojczyzną i każda ojczyzna ziemią obcą. Żenią się jak wszyscy i mają dzieci, lecz nie porzucają nowo narodzonych. Wszyscy dzielą jeden stół, lecz nie jedno łóżko. Są w ciele, lecz żyją nie według ciała. Przebywają na ziemi, lecz są obywatelami nieba. Słuchają ustalonych praw, z własnym życiem zwyciężają prawa. Kochają wszystkich ludzi, a wszyscy ich prześladują.

Oto nasz paradoks katolicki: mieszkamy pośrodku wielu innych, ale nasze życie nie polega na byciu pośrodku. Bycie katolikiem nie polega na byciu „pośrodku”, wyznawaniu opinii „pośrednich”, sileniu się wszędzie na pozorny „umiar”, zajmowaniu pozycji „w centrum”. Tak naprawdę bycie katolikiem – przynajmniej z perspektywy logiki tego świata – to radykalizm i ekstremizm, a nawet „niebezpieczny anarchizm”. Nie pasujemy do tego świata. Tylko co to znaczy?

Może ktoś uważa, że to oznacza, że gdy wybucha spór pragmatyków z ultrasami albo lojalistów z rozłamowcami, to katolikom zawsze jakoś bliżej do tych drugich? To nieporozumienie. Gdyby tak było, oznaczałoby to po prostu, że katolicyzm to tylko jeden z żywiołów światowej opinii, jeden z elementów przepychanki, tyle że może – jeśli ktoś tak sądzi – bardziej wybuchowy, „fundamentalistyczny” etc. Tak zresztą na nas patrzą czasami ludzie sceptyczni wobec religii jako takiej, słabo zorientowani w katolicyzmie – o ile zabraknie im w pobliżu kogoś bardziej wybuchowego do napiętnowania, np. islamistów: „Ci katole są po prostu niebezpieczni”. Oczywiście, że tak – przecież chodzimy do kościoła, dajemy się tam karmić jakimś „opłatkiem”, opowiadamy swoje najintymniejsze historie komuś przez kratkę, słuchamy nauk wygłaszanych przez ludzi – horrendum – bez profesury i niezapraszanych do telewizji, często jakichś nieopierzonych młodzików „po święceniach”, słuchamy zaś poleceń starszych panów ubranych „jak Święty Mikołaj”, przekazujemy sobie z przejęciem książeczki o objawieniach płaczącej Madonny... Same szaleństwa, prawda? A jest tego znacznie więcej.

Ale nasz katolicki ekstremizm, radykalizm czy anarchizm nie jest ze świata, nie jest chodzeniem za tym czy innym podmuchem

światowym, za tą czy inną sforą emocji. Krótko mówiąc: on polega na tym, że nie jesteśmy ani pragmatykami, ani ultrasami – że ani jedni, ani drudzy nie dostarczają nam wzorów, pod którymi my się tylko podpisujemy katolicką ręką.

Tak, mamy w sercu wiarę i rozum – i to nie jako dwie rozdzielone substancje, lecz jako powiązanie dwóch elementów ze sobą zjednoczonych od wewnątrz, gdyż danych z dwóch różnych stron przez tego samego, jedyne prawdziwego Boga, w naturze i łasce. W tym katolickim połączeniu i wiara, i rozum zyskują coś, czego nie mają z osobna. Z osobna bowiem rozum dość szybko biegnie ku pragmatyzmowi lub cynizmowi, a wiara (jako ludzka postawa) – zmierza do oddawania się nawet absurdowi, byle tylko był okraszony „uczuciem religijnym”.

Nasz problem dzisiaj polega na tym, że mamy w Polsce wciąż dużo tego amalgamatu katolickiego zdrowego rozsądku i odważnej wiary – ale mamy też dookoła, zwłaszcza wśród osób opiniodajnych, dużo jego podróbek lub po prostu odprysków. Również w Kościele, w naszym „krwiobiegu” katolickim, krążą te miazmaty. Rzadko się na nie adekwatnie reaguje. Raczej to wygląda tak, jakby jedna czy druga trucizna opanowywała a to rękę, a to nogę – i wymachiwała nimi bez sensu, tak że w jednym ciele lewica nie może się już w ogóle porozumieć z prawicą, obie współtworzą jakąś kościelną epilepsję. Tak, tak – bo jest przecież i w tym ciele kościelnym Chrystusa jedno i drugie – ręka prawa i ręka lewa, czymś się różnią, a w czymś muszą być zgodne. Jednak trucizny wprowadzają dysharmonię i rozkład.

Pierwsza z trucizn, rozdawana jako „czysty rozum”, czyni katolików pragmatykami, którzy nagle traktują swoją wiarę i pobożność jako wyłącznie kulturowy wystrój albo dodatek tożsamościowy, przychodzący jak kolorowa czapka na głowę wspólnego wszystkim ludziom człowieczeństwa. Zatem gdy tylko naciśnie „konieczność”, katolicy-pragmatycy gotowi są zdejmować uwierające katolickie czapki. Nagle okazuje się, że ratunek i zbawienie właśnie tego wymagają, więc nasi katolicy-pragmatycy, pod rękę ze swoimi starszymi braćmi pragmatykami rasowymi, szybko nas przekonują do pozbywania się wstydliwych „zabobonów”, „myślenia magicznego” etc. Pierwsi w walce o to, żeby ich religia zdała egzamin z „czystego rozumu”.

Na to trzeba powiedzieć wyraźnie: to jasne, że nie jesteśmy pragmatykami – a w dniach naszej epidemii oznacza to: nie jesteśmy wyznawcami „instrukcji BHP”. Owszem, traktujemy tę instrukcję poważnie, nie zaniedbujemy naszego posłuszeństwa obywatelskiego, jesteśmy zawsze we wsparciu akcji chroniących przed niebezpieczeństwami realnymi lub bardziej niż tylko potencjalnymi. Nie wiem, czy zawsze tak jest, ale przecież tak powinno być. My, chrześcijanie, patrzymy przecież na świat i na ludzi jako na dzieło Boże, gotowi zauważyć i ochronić każdy „knotek nie-dogaszony i trzcinę nadłamana”. Dlatego i obowiązek miłości bliźniego – gdy już usłyszeliśmy, co nam Pan Jezus powiedział w przypowieści o miłosiernym Samarytaninie, na pytanie „kto jest moim bliźnim?” – przynagła, żeby w niebezpieczeństwie zawsze najpierw myśleć o innych, zwłaszcza zależnych od naszej postawy i pomocy, a wydanych na naszą ewentualną lekkomyślność i niesolidarność.

Dlatego nieraz chodzimy razem z pragmatykami ziemskich dóbr, gdy połączy nas tu i tam akcja ograniczania strat społecznych. Ale też musimy ich przecież niekiedy zrazić lub zdecydowanie pożegnać: jednak coś praktycznie wynika z tego, że dla nas śmierć nie jest najgorszym możliwym złem, uratowanie życia za wszelką cenę – absolutem, niszczenie jednych ważnych dóbr w imię ratowania dóbr innych – rozwiązaniem „oczywistym”. Nie zgadzamy się więc na domyślne uznanie, że wszystko, co bierze się z logiki strachu przed chorobą i śmiercią, jest od razu niezbędne, możliwe do maksymalizowania, zawsze pierwszorzędne w stosunku do tego, co wynika z logiki godności, szlachetności, prawości – i logiki wiary.

Czysta logika pragmatyzmu jest logiką likwidacji wiary – najpierw wszystkiego, co w niej nadprzyrodzone, związane z tajemnicą sakramentalnej obecności Boga; a potem – likwidacji wszystkiego, co stanowi absolut moralny, trwałe zasady dobra i zła. Na końcu są to już tylko nawoływania do empatii i komunikaty o bieżących akcjach społecznych.

Teraz, w kryzysie koronawirusowym katopragmatyzm polega na praktycznym odwróceniu uwagi od tego, co daje wiara (a daje, mówi nam rytuał Chrztu: życie wieczne). Nasze zainteresowania zostają tak mocno związane z dobrami ratowania życia czy

życiowego komfortu, życiowych zadowoleń – że wręcz za nieprzyzwoite uznaje się to, co „odrywa uwagę” od tego. A więc słowa wzięte z Pisma i Tradycji – słowa o grzechu, o przygotowaniu na śmierć, o nawróceniu, o związanej z tym kościelnej posłudze Łaski – albo schodzą na drugi plan, albo są jakby zakazane. Jakby były ważne tylko w bezpiecznych czasach. Natomiast zagadnienia posługi kościelnej, szafarstwa Sakramentów są rozpatrywane niemal wyłącznie w aspekcie higienicznym, czego przykładem jest forsowana, robiona dość brutalnie promocja Komunii na rękę.

Ale jest też i druga trucizna: ultrasizm, „szaleństwo wiary”, butna nonszalancja wobec tego, co Bóg daje nam zobaczyć przez rozum, gotowość, by się kierować „uczuciem wiary”, egzaltować „gorącym sercem”, samopodniecać obrazem własnego męstwa. Ta trucizna czyni katolików szaleńcami, którzy każdy argument rozumowy uznają za bezbożny podstęp, każdą kościelną dyspensę mają za zdradę – a przy tym swoje określone potrzeby pobożnościowe traktują dokładnie tak, jak człowiek nieumiarkowany w jedzeniu i picu traktuje swoje apetyty. Zwykle podejrzliwi względem rozumu, uciekają się do nieuchwytnych uczuć i przeswiadczeń, a oderwane fragmenty wiary i pobożności pojmują, „jak im serce każe” – a wszystkich, którzy za tym nie idą, za „upadłych”, kapitulantów, słabeuszy.

Muszę powiedzieć, że jest w postawie tych „szaleńczo wierzących” coś, co bardzo chciałbym uszanować, choćby było to przykryte stosami głupot: niepodatność na dyktat świata, obojętność na perswazje mędrków, wierność zobowiązaniom (przynajmniej tym, które się akurat widzi). W tym podobieństwo do naszego katolickiego radykalizmu – dlatego i my w stosunku do świętych mówimy czasami, że to „szaleńcy Boży”. Ale to jednak za mało, to nie to: o wiele łatwiej jest zostać szaleńcem i podróbką świętego niż świętym. A bynajmniej nie zostaje się świętym przez to, że się najpierw zostaje szaleńcem czy ultrasem. Niestety zbyt często popycha się w ten sposób i samego siebie, i innych w przepaść – a zaczynamy od kierowania się prywatnymi wizjami (bez względu na Katechizm), gorączką skrupułów (którą się samemu hoduje, podtrzymuje nawet po rozgrzeszeniu), w końcu i traktowania władzy duchownej jako tylko świeckiego jarzma (szkodzącego żywiołowej wierze).

To jasne, że katolicka wierność Chrystusowi nie polega na pogardzie wobec rozumu, rozważi, roztropności. Pamiętajcie, jak u Chestertona jego ksiądz Brown rozpoznał fałszywego kapłana? Rzekł mu: „Atakowałeś rozum, a to zła teologia”. Atakuje się rozum na różne sposoby – zarówno wtedy, gdy się lekceważy rozumową wiarygodność chrześcijaństwa, jak i gdy się przyjmuje za próbę wiary pokusę skakania z dachu – bo aniołowie przecież nas uratują... Mamy w sercu słowa Chrystusa wzięte na to kuszenie: „Nie będziesz wystawiał na próbę Pana, Boga swego”.

W dniach takich jak nasze ultraszizm oczywiście szarżuje – to też jego wielkie dni: może straszyć i grozić, rozbijać i demaskować. Z całym, wspomnianym wyżej, szacunkiem do obecnych w tej postawie ziaren męstwa lub bojaźni trzeba tym szarżom przeciwstawiać katolicyzm, katolickie chrześcijaństwo – zwykle w takich sytuacjach mniej efektowne poetycko, lecz realistyczne moralnie. Owszem, wbrew pragmatykom nie można dopuszczać do likwidacji widzialnego organizmu wiary – z Eucharystią i innymi sakramentami – ale z kolei wbrew ultrasom nie powinno się, nie wolno sprowadzić, ograniczyć udziału sakramentalnego do wymiaru materialno-przestrzennego, który jest właściwy normalnemu biegowi rzeczy. Innymi słowy, Kościół nie może zaprzestać ani składania Ofiary, ani kontynuowania służby Bożej, ani głoszenia Ewangelii – ale sposób udziału w tym i w tego owocach może lub niekiedy powinien być nadzwyczajny (stąd w naszych dniach konieczność zdania sobie sprawy z sakramentalności Komunii duchowej i z sakramentalnych skutków tzw. żalu doskonałego).

Gdy przyszło zagrożenie koronawirusowe, ultraszizm ogłosił swoje prywatne dogmaty: dyspensacja od Mszy niedzielnej to zdrada Chrystusa, dzisiaj przyjęcie Komunii w kościele to obowiązek męczeństwa, nadszedł czas gniewu Bożego, niebo zamknęło się, Bóg wycofał swoje miłosierdzie itp., itd. Nieliczne ziarna nie tworzą prawdy z mnóstwa plew, więc zawarte w głosach ultrasów tony biblijne i katolickie nie tworzą z nich głosów katolickich, tylko prywatne teologie, prywatne magisteria, prywatne prorocтва...

W dniach takich jak obecne nasza katolicka „trzędka” staje w mocnym przewiewie światowych opinii – lub między mocnymi strumieniami machinalnych reakcji natury. Jest pomiędzy dwoma

kuszeniami, zachodzona od dwóch stron i od dwóch stron tracąca swych wiernych na rzecz niechrześcijaństwa pragmatyków i ultrasów. Kuszenia są dwa, nie jedno. Jedno dobiera się do nas bardziej „od zewnątrz”, przez argumenty rozumu. Drugie wkręca się w nas od samego serca, zastępując naszą wiarę religijnymi uczuciami. Sami powiedzcie, które gorsze – ale ja powiem, że żadne z nich dobre.

Jest jeszcze trzecie: kuszenie bierności, bezwolności. Otóż nie wolno tak stać pomiędzy zderzającymi się frontami, trzeba, jak Pan Jezus wobec tłumu zezłoszczonych w Kafarnaum: „przejsć pośrodku nich”, iść swoją drogą, bez próby zaspokajania pretensji z prawej i lewej. Przejsć na własnych nogach, czyli z własnym katolickim stanowiskiem, wspólnym Kościołowi wszystkich wieków. ■